

Stanley Fish

Stanowisko tekstualne nie istnieje

ER(R)GO. Teoria–Literatura–Kultura nr 1 (12), 107-128

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanowisko tekstualne nie istnieje

I.

Kilka lat temu odwożąc ojca do jego mieszkania, dojechałem do skrzyżowania ze światłami; paliło się czerwone. Ojciec rzekł tylko: „Jedź przed siebie”.

Co miał na myśli? Wtedy nie przyszło mi do głowy, że chciał powiedzieć: „Nie zatrzymuj się, grzej śmiało”. Zrozumiałem natomiast, że jego słowa mają następujące znaczenie: „Jak tylko zapali się zielone, jedź prosto; nie skręcaj ani w prawo, ani w lewo”. Jak doszedłem do takiego wniosku? Wiele osób wytłumaczyłoby to w ten sposób, że odrzuciłem proste, dosłowne znaczenie i zastąpiłem je znaczeniem, które odpowiadało mojemu pojmowaniu intencji ojca.

Mój tok rozumowania był następujący: ojciec nie mógł mieć na myśli tego, co powiedział – nie mógł wydać mi polecenia, które oznaczałoby złamanie prawa – więc szybko (i bez specjalnego zastanowienia) wybrałem znaczenie, które „miało więcej sensu”. Taki wywód jest zgodny z rozróżnieniem (typowym dla tradycyjnej filozofii języka) pomiędzy znaczeniem zdania i znaczeniem, które ma na myśli mówiący; pomiędzy znaczeniem, jakie wypowiedź ma ze względu na zestaw tworzących ją jednostek leksykalnych i struktur składniowych, a znaczeniem, które mówiący sobie zamierzył, ale którego nie osiągnął. Właśnie dlatego, że te dwa znaczenia się od siebie różnią (tak przynajmniej zwykle się twierdzi), można je rozdzielić, a skoro jest to możliwe, można też dojść do wniosku (jak to widać na powyższym przykładzie), że mój ojciec powiedział X, choć miał na myśli Y; jego słowa, pojmowane dosłownie, wyrażały jedno, choć zamierzał powiedzieć coś innego. Moją reakcją można opisać zatem w kategoriach dokonanego wyboru: zatrzymując się i czekając na zielone światło, zdecydowałem się postąpić zgodnie z zamierzonym znaczeniem ojca – jego intencją – a nie z dosłownym znaczeniem zdania, które wypowiedział. Powtórzmy: taki wybór jest nam dany, ponieważ można rozróżnić dwa opisane wcześniej znaczenia.

Jestem przekonany, że sędzia Antonin Scalia uznałby taki opis mojego rozumowania za jak najbardziej prawidłowy, choć chciałbym podkreślić, że przytaczam tu nie własne poglądy, a tylko opis, pod którym mogliby się podpisać niektórzy filozofowie. Z drugiej strony ręczę, że Scalia wszelkimi siłami bronilby się przed zastosowaniem takiego wyводу do sfery interpretacji prawnej. Albowiem, jak sam twierdzi w książce *A Matter of Interpretation [Kwestia interpretacji]*, w naszym kraju mamy rządy prawa – spisanych przepisów prawnych – a nie ludzi; w związku z tym „orzeczenie znaczenia prawa na podstawie intencji ustawodawcy, a nie na

podstawie tego, co opublikowano w przepisach”¹ byłoby niczym innym, jak naruszeniem zasad demokracji. Wszak „przedmiotem naszych dociekań” jest to, co zostało „wypowiedziane” [„*said*”], a nie „przyświecająca wypowiedzi intencja [*what is „intended*”]”². „Ludzie mogą mieć różnorakie intencje, ale dla nas wiążące są tylko ustanowione przez nich prawa”³. Dla Scalii liczy się nie tylko kwestia zasad demokracji, ale także zapewnienia stabilności i przewidywalności prawa, albowiem słowa są zapisane i można zawsze się do nich odwołać, czego nie da się powiedzieć o intencjach. Właśnie dlatego intencje stanowią niedostateczne ograniczenie swobody sędziów, którzy mogliby pokusić się o zmianę znaczenia [*rewrite*] prawa pod pozorem jego interpretacji.

Konkretna groźba [przyjęcia intencji za przedmiot interpretacji] polega na tym, że z mniejszą lub większą premedytacją odwołując się do niewyrażonych intencji ustawodawcy (...) sędziowie będą chcieli kierować się w orzekaniu swoimi własnymi celami i pragnieniami (...). Jeśli ma się podjąć decyzję nie na podstawie tego, co mówi zapis ustawy, ale na podstawie tego, jakie było jego zamierzone znaczenie, (...) najsensowniejszym sposobem rozwiązania kwestii intencji takiego zapisu jest postawienie sobie pytania: jakie intencje przyświecałyby osobie rozsądnej i inteligentnej. W ten sposób niechybnie dochodzimy do wniosku, że znaczenie prawa jest takie, jakie być powinno naszym zdaniem (...).⁴

Tak więc choć Scalia mógłby uznać, że miałem rację wybierając intencję mego ojca, a nie dosłowne znaczenie jego słów (to Scalia tak opisałby całą sytuację, a nie ja), uznalby, że nie mam racji dokonując podobnego wyboru, gdybym był sędzią, który musi wybrać pomiędzy tym, co stanowi prawo (rozumiane dosłownie), a opisem intencji (stworzonym na podstawie nie wiadomo czego) tych, którzy je ustanawiali.

W rozumowaniu Scalii i innych zadeklarowanych tekstualistów cała kwestia zawsze sprowadza się do tego samego – do wyboru między czymś dostępnym i namacalnym (tekstem i wbudowanym w niego sensem), a czymś nieobecnym i opartym wyłącznie na przypuszczeniach [*speculative*] (intencją autora); a jeśli kwestię stawia się w ten sposób, decyzja Scalii nosi wszelkie znamiona rozsądnej i uzasadnionej. Ale czy rzeczywiście postawienie nas przed takim wyborem jest czymś oczywistym? Sądzę, że nie, mimo że na pierwszy rzut oka trudno temu wyborowi coś zarzucić. Przede wszystkim jednak żeby można było mówić o dokonywaniu jakiegokolwiek wyboru, musimy mieć do czynienia z dwoma różnymi bytami [*entities*]. W przypadku tego konkretnego wyboru, potrzebne nam jest znaczenie tekstu – znaczenie, jakie zdanie posiada jako swoją właściwość – którego moglibyśmy się trzymać, lub od którego moglibyśmy odejść. Tylko wtedy można by podjąć decyzję o wyborze znaczenia tekstu albo je odrzucić na rzecz innego znaczenia. W takim razie jakie znaczenie tekstu odrzuciłem, kiedy zrozumiałem, że mój ojciec mówi: „Jak światło zmieni się na zielone, jedź prosto, a nie skręcaj”?

Tekstualista odrzekłby, że odrzuciłem dosłowne znaczenie „jedź przed siebie”, a więc znaczenie, które pojawia się, gdy dokonamy analizy gramatycznej wypowiedzianych słów: trybu rozkazującego „jedź” i okolicznika sposobu „przed siebie”. Jednak gdybym zrozumiał słowa ojca w taki właśnie sposób, to nie dlatego że usłyszałbym je bez związku z jakąkolwiek intencją towarzyszącą jego wypowiedzi, ale dlatego że odebrałbym je jako wyraz intencji odmiennej od tej, która kazała mi zrozumieć je jako polecenie, bym jechał prosto, a nie skręcał. Pytanie brzmi zatem, z którym z dwóch (choć może być ich znacznie więcej) wyżej wspomnianych zamiarów ojciec zwrócił się do mnie takimi słowami? Odpowiedzi na to pytanie nie udzieliła sama w sobie, ponieważ gdyby miały taką zdolność, nie trzeba by w ogóle stawiać pytania i problem interpretacji sam by się rozwiązał. Intencji nie da się oddzielić od znaczenia, ani też uznać, że jest z nim sprzeczna. Nie mamy do czynienia z wyborem pomiędzy tym, co mój ojciec powiedział, a tym, co chciał powiedzieć, ale pomiędzy dwoma różnymi określeniami tego, co chciał powiedzieć. Czy zamierzał (było jego intencją) przekazać wskazówki synowi, który bez reszty zaprzęgnięty akademickimi sprawami mógł zapomnieć, którędy jechać, czy też może chciał (było jego intencją), by syn złamał przepisy, być może ze względu na pilne spotkanie, na które był umówiony, albo mógł poczuć gwałtowny ból w klatce piersiowej, albo po prostu robienie na przekór władzom i związane z tym ryzyko sprawiało mu satysfakcję?

No tak, powie na to tekstualista, ale jedna z tych intencji jest zakodowana w samym języku, stanowi zatem intencję zdeterminowaną przez tekst – dopiero na jej podstawie można mówić o szczególnych okolicznościach, a jeśli one nie zaistniały, „Jedź przed siebie” znaczy tyle, co słowa: jedź przed siebie. Niezupełnie. Założmy, że wypowiedź mojego ojca pada w toku rozmowy, w trakcie której zadaję mu pytanie: „Gdybyś spieszył się na ważne spotkanie, albo źle się poczuł, albo gdyby miał miejsce jakiś inny poważny wypadek, powiedziałbyś mi: <Zatrzymaj się na czerwonym świetle>, czy raczej: <Jedź przed siebie>?” Gdyby wtedy ojciec odrzekł: „Jedź przed siebie”, zrozumiałbym, że nie jest to polecenie i nie każe mi łamać przepisów, lecz chodziłoby mu o to, że tak właśnie powinienem postąpić w jednej z opisanych przeze mnie sytuacji. Nie odebrałbym wówczas jego słów jako trybu rozkazującego, ale jako odpowiedź na moje pytanie i byłoby to dla mnie oczywiste od razu, a nie dopiero po uprzednim przeanalizowaniu dosłownego znaczenia. Same w sobie słowa „Jedź przed siebie” nie mają żadnego z góry określonego znaczenia, czy to związanego z trybem rozkazującym, czy z czymkolwiek innym. Nabierają znaczenia dopiero, kiedy odbieramy je przez pryzmat intencji; znaczenie ulegnie jednak zmianie, jeśli przypiszemy im inną intencję.

Tekstualiści mogą jednak dalej obstawać przy swoim. Powiedzą, że w mojej hipotetycznej sytuacji znaczenie zdania „Jedź przed siebie” jest zdeterminowane przez kontekst słowny – przez pytanie, które ojcu zadałem. A kontekst to nic innego, jak tylko większy fragment tekstu, więc czy to, jak zrozumiałem odpowiedź

ojca, nie jest mimo wszystko zdeterminowane przez sam tekst? Czyż w ostatecznym rozrachunku to nie tekst określa znaczenie? Spróbujmy jednak rozbudować moją hipotetyczną sytuację: mogłem się w końcu mylić, sądząc, że ojciec odpowiada na moje ogólne pytanie; może rzeczywiście poczuł nagły ból w chwili, kiedy je zadawałem i kazał mi jechać przed siebie (mogłem narazić go na niebezpieczeństwo, źle zrozumiałwszy jego wypowiedź). Mógł też być pogrążony w zadumie, w ogóle mnie nie słuchając i właśnie w tej chwili oprzytomniał, po czym chciał mi przypomnieć, że droga do jego domu wiedzie na wprost, a nie w lewo, czy w prawo. Nie zmienia to mojego stanowiska: tekst jako taki, bez względu na długość lub złożoność, nigdy nie określa znaczenia; z kolei intencja - przyjęta jako założenie, odkryta, czy też ujawniona – zawsze może zmienić znaczenie, które do tej pory nie budziło zastrzeżeń. I to nie dlatego, że to, co zostało powiedziane, uznaliśmy za mniej istotne od tego, co było intencją mówiącego, ale dlatego że dotychczasowy sposób rozumienia intencji został zastąpiony innym.

A gdyby intencja w ogóle nie wchodziła w rachubę? W takim przypadku nie dość, że nie byłoby mowy o znaczeniu, to nawet nie byłoby powodu, żeby się go doszukiwać. Mianowicie gdybym był przekonany, że za tym, co słyszę albo na co patrzę, nie stoi jakkolwiek intencja, nie mógłbym tego uznać za język, tylko za zestaw przypadkowych znaków (coś w rodzaju pozbawionego sensu ciągu liter [„garbage”], jaki wystukujemy na klawiaturze komputera, by sprawdzić, czy odpowiada nam dana czcionka), za zwykły hałas towarzyszący np. odchrząkiwaniu. Z kolei na tej samej zasadzie, dźwięki wydawane przez mojego ojca miały dla mnie znaczenie (tj. usłyszałem je jako słowa), dlatego że odebrałem je jako wypowiedź istoty zdolnej do nadawania sensu swojemu działaniu, zdolnej do przekazywania swoich intencji i właśnie w tej chwili zgodnie z tymi zdolnościami postępującej. Musiałem tylko ustalić, jaką konkretnie intencją akurat się kierował (czy chodziło mu o X, czy miał na myśli Y?); nie miałem natomiast żadnej możliwości ustalenia ani nawet domniemania, co znaczą jego słowa w oderwaniu od intencji jego wypowiedzi. W momencie, w którym staram się zrozumieć same słowa, w momencie, kiedy słyszę je jako słowa i traktuję jako wypowiedź językową, zakładam istnienie przyświecającego im zamiaru – by dać mi wskazówkę co do kierunku; by przekazać polecenie; ponaglić; skłonić do złamania prawa. Dopiero w świetle tego zamiaru dźwięki stają się słowami i nabierają znaczenia. Słowa same w sobie, pozbawione ożywiającej je intencji, nie mają mocy, ani semantycznego kształtu; nie są jeszcze językiem. Kiedy ktoś powiada nam (jak to mają w zwyczaju tekstualiści), że jest w stanie zrozumieć słowa w oderwaniu od intencji, po czym zadowolony z siebie przystępuje do interpretacji tekstu, to tak naprawdę bazuje już na intencji, którą bezwiednie założył. Ciąg liter i spacji w rodzaju „Jedź przed siebie” nie posiada naturalnego, dosłownego, ani oczywistego znaczenia; posiada jedynie znaczenia (a jest ich nieskończona ilość), które jawią się nam w wyniku założenia różnych intencji. Scalia pisze z aprobatą o słowach sędziego Jacksona, który miał oświadczyć: „Nie wnikamy w to, co miał na myśli ustawodawca; chcemy natomiast wie-

dzieć, co oznacza przepis prawny⁵. W moim przekonaniu, jeśli kogoś nie interesuje intencja, nie jest też zainteresowany znaczeniem. I nie chodzi o to, że – jak to kiedyś mówiło się o miłości i małżeństwie – jedno idzie z drugim w parze; znaczenie i intencja są wręcz nierozłączne.

W omawianej wcześniej sytuacji istnieje jeszcze przynajmniej jeden możliwy wariant. Załóżmy, że jestem pewien, iż mój ojciec każe mi się zatrzymać na czerwonym świetle, po czym jechać prosto, ale, by zrobić mu psikusa, lub wykazać określoną kwestię językową, postanawiam przejechać przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Znam jego intencję (w jedyny możliwy sposób, w jaki ją można „znać”, tzn. jestem co do takiej, a nie innej intencji przekonany), ale podejmuję decyzję, aby postąpić tak, jakby jego intencją było coś innego. Gdyby mnie za to zganili, mógłbym zawsze odpowiedzieć: „Przecież sam właśnie to kazałeś mi zrobić, mówiąc <Jedź przed siebie>”. Innymi słowy, mógłbym na potrzeby takiej rozmowy przyjąć postawę nieszczerego tekstualisty, chociaż wiem doskonale, że to nie jego słowa same w sobie, ale rozumiane jako nośnik intencji ojca nabierają konkretnego znaczenia. Widać tutaj wyraźnie, że właśnie dlatego, iż znaczenie mają dopiero słowa rozumiane jako wyraz intencji, istnieje możliwość celowego przypisania im intencji, która w przekonaniu odbiorcy wcale za nimi nie stała. Z tej możliwości często korzystają osoby zajmujące stanowiska kierownicze. Wyobraźmy sobie, że jestem dziekanem i otrzymuję list od przewodniczącego komitetu odpowiedzialnego za przygotowanie raportu, którego wnioski będą stanowić wytyczne dla rozwoju mojego wydziału na najbliższe pięć lat. W liście czytam: „Szanowny Panie Dziekanie, niniejszym rezygnuję z przewodniczenia pracom Komitetu Światlanej Przyszłości. Podejmuję taką decyzję, ponieważ nie jestem w stanie wykonywać powierzonych mi zadań bez dodatkowej przestrzeni biurowej niezbędnej do przechowywania poufnych materiałów i organizowania spotkań. Jak Panu zapewne wiadomo, wielokrotnie występowałem z prośbą o odpowiednie pomieszczenie, ale nie otrzymałem pozytywnej odpowiedzi. Z poważaniem, John Smith”. Załóżmy dalej, że jako dziekan otrzymuję mnóstwo takich listów (jest to zresztą zgodne z prawdą) i wiem, że przynajmniej w przypadku połowy z nich chodzi o swego rodzaju fortel – ich autorzy nie chcą podawać się do dymisji, tylko targują się i upominają o swoje. Przyjmijmy też, że profesor Smith, ze znanych mi zarówno osobistych jak i zawodowych powodów, wcale nie zamierza podawać się do dymisji; chce tylko coś wynegocjować. W takiej sytuacji wszystkie atuty są w moim ręku. Jako że słowa same w sobie nie mogą przekazywać znaczenia, znaczenie zaś zmienia się w zależności od przypisanej im intencji, której słowa nie są w stanie podważyć (gdyby miały taką zdolność, oznaczałoby to, że znaczenie jest rzeczywiście zawarte w nich samych); ponieważ słów nie obroni przed przypisaniem im takiej a nie innej intencji żadna ilość wyjaśnień, choćby nie wiem jak precyzyjnych i dobitnych (nawet dopisek: „Jestem skłonny rozważyć Pańskie propozycje” nie daje tutaj wystarczającej gwarancji), mogę śmiało przyjąć rezygnację Profesora Smitha, jeśli tylko jest ona po mojej myśli, mimo że wyczuwam fałsz w jego sło-

wach. Gdyby po fakcie chciał zaprotestować utrzymując, że nie było jego intencją składanie rezygnacji, mógłbym mu odrzec ze zdziwieniem (choć także ze świadomością własnej dwulicowości): „Przecież Pańskie słowa mówią co innego”.

Zwróćmy uwagę, że nie dysponowałbym takim rozwiązaniem, gdyby słowa rzeczywiście miały stałe albo przynajmniej w miarę stabilne znaczenie. W takim wypadku można by wziąć je pod lupę i wydobyć z nich takie znaczenie, które musiałbym uznać ze względu na niepodważalne fakty językowe; słowa listu same z siebie wykluczyłyby zatem znaczenie, które starałem się im przypisać. Oczywiście istnieją słowa, których znaczeniu muszę się podporządkować, jeśli na przykład moje odczytanie intencji mówiącego nie trafi do przekonania tym, którzy mają je uwierzytelnić, albo jeśli brakuje mi pomysłów i postanawiam zaakceptować pierwsze lepsze znaczenie, jakie przyjdzie mi do głowy, albo jeśli takie znaczenie jest określone regułami umowy społecznej, która zakłada, że nawet przypadkowe podniesienie ręki w czasie aukcji skutkuje zakupem nikomu niepotrzebnego grata. Jednak w każdym z wymienionych tu wypadków to nie słowa zmuszają mnie do zaakceptowania takiego, czy innego znaczenia, tylko któraś z niemożliwych do przewidzenia [*contingent*] okoliczności w ramach konkretnej, empirycznej sytuacji. W teorii nic nie stoi na przeszkodzie, by dowolna sekwencja słów stała się nośnikiem danej intencji. Do historii przeszło pytanie Wittgensteina: „Czy można powiedzieć <bububu>, mając na myśli <Jeśli nie będzie padać, wybiorę się na spacer>?”⁶ Odpowiedź brzmi: tak. Naturalnie być może nie uda się przekazać zamierzonego znaczenia (czy w ogóle jakiegokolwiek znaczenia) słowami „bububu”, ale niepowodzenie to nie oznacza, że czegoś takiego nie miało się na myśli. Tak więc mimo że powodzenie komunikacji słownej jest kwestią przypadku, zależną od innych ludzi i okoliczności zewnętrznych, powodzenie intencji (jeśli tylko założyć, że nie jest się umyślowo upośledzonym w stopniu uniemożliwiającym kierowanie się intencjami) można przyjąć za pewnik. Wittgenstein pisze o całej sytuacji tak, jakby stanowiła ona skrajną ewentualność, podczas gdy tak naprawdę nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Równie dobrze można zapytać: „Czy da się powiedzieć <tak>, mając na myśli <nie>?” albo: „Czy da się powiedzieć <Myślę, że tak>, mając na myśli <W żadnym wypadku>?” W obu przypadkach odpowiedź brzmi: tak.

II.

Wszystko, co napisałem powyżej, sprowadza się do tezy postawionej w tytule tego eseju: stanowisko tekstualne nie istnieje. A nie istnieje ono z braku tego, czego mógłby bronić kandydat na tekstualistę. Ktoś taki jak Scalia powie, że tym czymś jest sam tekst i że jego znaczenie można odczytać przyglądając się uważnie konfiguracji jednostek leksykalnych (opierając się na ich definicji w standardowych słownikach) i struktur gramatycznych, a w razie niejasności lub dwuznaczności sięgając po pomoc do historii ustawodawstwa lub precedensów prawnych. Ale, jak starałem się wykazać, jednostki leksykalne i struktury gramatyczne same z siebie nie określają znaczenia – nie mają nawet charakteru jednostek leksykalnych i struk-

tur gramatycznych – dopóki nie zaczniemy ich postrzegać jako efektu czyjejs nacechowanej intencjonalnie działalności. Tekst, którego znaczenie wydaje się od razu jasne i oczywiste, to tekst, którego kontekst intencjonalny został już wcześniej przyjęty bez zastrzeżeń, choć stabilność i klarowność takiego tekstu można zawsze podważyć, wysuwając argumenty przemawiające za innym kontekstem intencjonalnym (i innym oczywistym znaczeniem). W pierwszej kolejności mamy do czynienia z określeniem lub założeniem intencji; dopiero potem możemy mówić o tekście i jego znaczeniu. Krótko mówiąc, tekst nie jest bytem niezależnym lecz pochodnym i wtórnym – najpierw musi pojawić się inny byt (ożywiająca go intencja), by tekst zaistniał jako tekst. A czegoś, co stanowi pochodną innego bytu, nie można z kolei określać w kategoriach źródła czy też umiejscowienia znaczenia. Wykluczone jest też stanowisko kompromisowe, według którego tekst jest częściowym źródłem znaczenia, a resztę czerpiemy po trochu z pojęcia intencji, historii i kontekstu. Takie pluralistyczne albo syntetyczne podejście⁷ ma tę samą wadę, co pełnokrwisty tekstualizm: coś, co nie ma własnej tożsamości ani właściwości (oprócz czysto materialnej właściwości związanej z kształtem i pustą przestrzenią spacji), coś, co raz za razem ulega podporządkowaniu, coś, co nie jest bytem samym w sobie, a jedynie narzędziem, nie może odpowiadać za część znaczenia, na tej samej zasadzie, na jakiej nie może odpowiadać za całość. Nie da się oprócz metody na czymś, co nie istnieje, na pojęciu (mowa o tekście), które ani niczego nie wytwarza, ani niczego nie określa, którego po prostu nie ma, kiedy brakuje ożywiającego je ducha.

Właśnie dlatego, że same słowa ani nie rodzą, ani nie objaśniają znaczenia, nie mogą też być podstawą do rozstrzygnięcia sporów o to, jakie znaczenie ma dana wypowiedź lub dany tekst. W środowisku badaczy zajmujących się twórczością Milтона trwający od stuleci, nierozstrzygnięty spór (którego końca ciągle nie widać) dotyczy znaczenia słów „dwuręka maszyna” [*two-handed engine*] w wersji 130 poematu *Lycidas*: „A oto ku drzwiom dwuręka maszyna się zbliża/Cios zadać gotowa jeden raz najwyżej”⁸. Niezainteresowanych poezją Milтона zaskoczy, a może i zbulwersuje informacja, że zużyto już hektolitry atramentu i góry papieru komputerowego, podejmując próby wyjaśnienia tej zagadki. Słowniki, bestiariusze, zapisy debat parlamentarnych, dzieła teologiczne, zapiski sądowe, średnio-wieczne alegorie, edykty królewskie – wszystko to i wiele innych „źródeł” przetrząśnięto do tej pory w poszukiwaniu wskazówek. Ale wskazówek co do czego? Bo nie co do tego, co znaczy samo wyrażenie, lecz wskazówek pozwalających określić, który z kilkadziesiątu opisów owego znaczenia (a każdy opis poparty jest wnikliwymi badaniami) da się przekonująco powiązać z tym, co Milton miał na myśli. Wcale nietrudno przypisać takiemu wyrażeniu znaczenie, jakie ktoś, mając określone intencje, mógł sobie zamierzyć. Trudność polega na tym, by udowodnić ponad wszelką (lub niemal wszelką) wątpliwość, że takie właśnie znaczenie miał na myśli Milton (a nie twórca słownika, autor bestiariusza, czy ojciec kościoła), kiedy zasiadł do pisania swojego poematu. (Nawet jeśli zamiarem Milтона było

pozostawienie znaczenia „dwurękowej maszyny” wątpliwym i niejasnym, taką intencję również można by, przynajmniej w założeniu, wykazać.) Nic nie da szczegółowa analiza licznych materiałów historycznych, albowiem materiały te, bez względu na to, jak wszechstronne i jak uważnie by ich nie przestudiować pod każdym kątem, nie podsuną nam znaczenia „dwurękowej maszyny”. Powodzeniem (przynajmniej tymczasowym) może się zakończyć natomiast dokonanie odpowiedniego wyboru takich materiałów i posłużenie się nimi do wykazania, jakie znaczenie zostało przez Milтона zamierzone. Skutek takiego wyводу będzie się sprowadzał do przekonania tych, którzy obstawali przy nieco innym rozumieniu intencji pisarza, by zaniechali swoich starań i przyznali nam rację.

Wspomniałem w jednej z uwag w nawiasie, że taki spór może nigdy nie zostać rozstrzygnięty. Nie jest to wniosek teoretyczny, czy też kwestia nieodłącznej dwuznaczności języka (właściwością języka nie jest ani dwuznaczność, ani jednoznaczność, a kto sądzi inaczej jest tekstualistą), lecz obserwacja empiryczna. Minęło 350 lat, a dwuręka maszyna wciąż stanowi zagadkę i ideę o zakład, że tak już pozostanie (choć nigdy na pewno nie wiadomo). Z całą pewnością Miltonowi przyświecała jakaś intencja i gdybyśmy tylko potrafili do niej dotrzeć, dowiedzielibyśmy się, co znaczy „dwuręka maszyna”, jednak odpowiedzi na to pytanie nie znaleziono od tylu lat, że może już nigdy to się nie uda. Jeśli zajmujemy się literaturoznawstwem, nie ma w tym zresztą nic strasznego; to nawet dobrze się składa. Od 40 lat usiłuję zrozumieć znaczenie *Raju utraconego*⁹ i nikomu nie przyszło do głowy, by stanąć nade mną z zegarkiem w rękę i zapowiedzieć, że muszę ukończyć swoją pracę do przyszłego tygodnia, miesiąca, roku, czy tysiąclecia. Ponadto w moim zawodzie odbieram nagrody za przygotowywanie cyklicznych sprawozdań ze stanu moich dociekań, a gdybym zmienił zdanie co do znaczenia *Raju utraconego*, mógłbym opublikować mój nowy pogląd, dokładając kolejną cegiełkę do swojego CV. Jak ktoś kiedyś powiedział, taka praca to żyć, nie umierać.

Jednak są dziedziny, w których taki stan rzeczy jest nie do zaakceptowania. Jedną z nich to prawo. Tam spory muszą zostać rozstrzygnięte szybko, w przeciwnym razie dochodzi do zastoju w całej instytucji. Najprościej rzecz ujmując, prawnicy często nie mają „świata całego i tyleż czasu”¹⁰, by doszukiwać się znaczenia zamierzonego przez autora (lub autorów w przypadku konstytucji, decyzji Sądu Najwyższego, ustaw, itp.). Nad nimi ktoś rzeczywiście stoi z zegarkiem w rękę i dlatego muszą się spieszyć, by przedstawić ostateczne wnioski. Właśnie różnica pomiędzy pracą prawnika i pracą literaturoznawcy (zbliżoną pod tym względem do naszych codziennych zajęć domowych) pozwala zrozumieć, dlaczego wielu autorów, których eseje ukazały się w tym tomie¹¹, na wstępie przyznaje, że teza, iż znaczenie tekstu to kwestia intencji autora (lub autorów), brzmi dobitnie i jest być może nawet prawdziwa, ale, jak zaraz dodają, takie postawienie sprawy nie wyczerpuje problemu, tylko go

upraszcza, a w gruncie rzeczy niczemu nie służy. I tak Kent Greenawalt zgadza się co do tego, że intencjoniści „potrafią zaproponować precyzyjny opis znaczenia i interpretacji, który nie stoi w sprzeczności z faktami życia społecznego i odpowiednimi wartościami”¹² (nic mi nie wiadomo o tym, żeby wartości miały coś wspólnego z całą sprawą), zaś Adrian Vermeule wspomina o „intuicyjnym uroku”¹³ intencjonalizmu, jednak obaj szybko zostawiają intencjonalizm samemu sobie i omawiają stanowiska, które ich zdaniem są daleko bardziej owocne. Mogło by się wydawać, że Greenawalt i Vermeule reprezentują alternatywne postawy w kwestii znaczenia – dają wszak alternatywne odpowiedzi na pytanie, co znaczy tekst – ale w gruncie rzeczy porzucają po prostu zagadnienie znaczenia, a właściwie podporządkowują je swoim wyobrażeniom na temat tego, jak przebiega i jak powinna przebiegać praca prawnika.

Trzeba przyznać, że Samuel Rickless wykazuje się w tej kwestii uznania godną szczerością:

Dla wielu jest oczywiste, że właściwa funkcja sędziego sprowadza się do interpretowania prawa, a więc wyjaśniania jego znaczenia. (...) Coś w tym jest: wyjaśnianie znaczenia z całą pewnością stanowi część tego, czym sędziowie powinni się zajmować, wydając wyrok. Ale zasadniczą funkcją sędziego jest orzekanie, czyli rozstrzygnięcie sporów prawnych, a wielu z nich nie da się, innych zaś wręcz nie powinno się, rozstrzygać na drodze wyjaśniania znaczenia.¹⁴

Innymi słowy, kwestia znaczenia jest ciekawa i czasem nawet istotna, ale przede wszystkim musimy zająć się naszą pracą, a poszukiwanie znaczenia może nie przynieść żadnych rezultatów i w związku z tym w niczym nam nie pomoże, albo – prowadząc do absurdalnych wniosków – może wręcz postawić pod znakiem zapytania sens naszych działań. Przykładem takiego absurdu są dla Ricklessa prawodawcy, którzy ustanawiają przepis „zakaz poruszania się pojazdami po parku”, rozumiejąc przez to „psom zakaz wstępu na teren miasta”¹⁵. Byłoby błędem zdaniem Ricklessa, „gdyby sędzia uznał, że ów przepis zabrania psom wstępu na teren miasta, a nie samochodom wjazdu do parku”¹⁶. I tak, i nie. Byłoby to błędem jako element polityki społecznej, a w sferze *public relations* stanowiłoby to prawdziwą katastrofę, a więc także pomyłkę z politycznego punktu widzenia, jednak w warstwie interpretacyjnej można by orzeczenie sędziego ocenić jako prawidłowe. Gdyby okazało się, że ci, którzy wprowadzili ów przepis, przez „zakaz poruszania się pojazdami po parku” mieli na myśli „psom zakaz wstępu na teren miasta”, wtedy takie właśnie znaczenie miałyby ich formuła. (Cały język ma naturę umowną [*code-like*], w związku z czym mamy tu do czynienia nie tyle z napięciem pomiędzy zwykłym, dosłownym znaczeniem i znaczeniem umownym, co z napięciem między dwoma formami znaczenia umownego, z których jedna została przyjęta przez większą grupę ludzi.) Można wówczas dojść do wniosku, że z rozmaitych względów społeczeństwo nie jest w stanie zaakceptować takiego znaczenia i zaproponować,

by go nie uznawano, lecz trzeba jasno zdać sobie sprawę z tego, co się w takiej sytuacji robi: odrzuca się znaczenie przepisu po to, by móc go stosować w sposób sensowny (brzmi zabawnie, prawda?). W ten sposób potwierdzilibyśmy tezę Ricklessa, że w przypadku niektórych sporów po prostu nie powinno się „rozstrzygać na drodze wyjaśniania znaczenia”¹⁷.

Greenwalt przychyła się do tego poglądu, stwierdzając, że często orzecznictwo nie stara się precyzyjnie określić znaczenia tekstu. Dodaje, że w wielu przypadkach „takie postępowanie jest jak najbardziej pożądane”¹⁸. Vermeule z kolei wyjaśnia, dlaczego takie postępowanie może być pożądane. Badanie znaczenia tekstu („maksymalizowanie intencjonalizmu”¹⁹, jak to Vermeule określa) „pociąga za sobą koszty bezpośrednie i potencjalne związane z zapuszczaniem się coraz dalej i dalej w poszukiwaniu dowodów na takie czy inne intencje ustawodawcy”²⁰. Maksymaliści są narażeni jego zdaniem na „dezorientację spowodowaną dużą ilością sprzecznych dowodów”²¹ i w rezultacie podejmują decyzje, które cechuje brak spójności i precyzji. Lepiej odwołać się do „ograniczonego zestawu materiałów źródłowych” – zestawu z góry zdefiniowanego jako źródło znaczenia – ponieważ wtedy interpretator od razu wie, że poszukiwanie znaczenia można będzie ograniczyć do tychże materiałów. Vermeule określa tę strategię mianem „optymalizowania intencjonalizmu”²². Optymalizujący intencjonalista „korzysta z zasady ograniczającej: rezygnuje z dalszych poszukiwań, jeśli spodziewane korzyści z nich płynące są mniejsze, niż wymagane koszty”²³. Z podsumowania Vermeule’a wynika, że taka zasada „usprawiedliwia rozpatrzenie ograniczonej ilości informacji, które mogłyby mieć wpływ na intencje ustawodawcy”²⁴. Taka zasada usprawiedliwia znacznie więcej – także zaniechanie poszukiwań znaczenia, gdy tylko pojawią się pierwsze trudności, albo kiedy trzeba będzie zwiększyć nakłady. Warto się zastanowić, czy założenie, na którym oparte jest to usprawiedliwienie – wydajność ma priorytet w stosunku do prób zrozumienia, co znaczy dane prawo – byłoby do zaakceptowania, gdyby przedstawić je jasno i bez ogródek. Vermeule kończy swój esej wyrażając nadzieję, że „uświadomi on wszystkim już interpretującym, a także uczącym się dopiero interpretacji prawa, iż metoda maksymalizująca nie jest nieunikniona, albowiem stanowi tylko jedną z możliwości pośród dostępnych strategii podejmowania decyzji”²⁵. Rzeczywiście, stanowi jedną z dwóch możliwości w sytuacji, kiedy mamy do czynienia z wyborem pomiędzy interpretacją, a czymś, co interpretacją nie jest (jest natomiast analizą kosztów i zysków). Osoba dokonująca wyboru, do którego zachęca Vermeule, przestaje być interpretatorem, ponieważ nie interesuje jej już pytanie „Co znaczy ten tekst?”. Zostało ono zastąpione pytaniem „Co możemy z tym tekstem zrobić?”, na które odpowiedź brzmi: „Co tylko chcemy, albo co uznamy za słuszne”. Scalia obawiał się, że dociekanie intencji naraża nas na legitymizację kaprysów interpretatora²⁶. Powinien raczej żywić obawy przed sytuacją, w której dochodzi do rezygnacji z takich dociekań, a interpretator (które już właściwie nim nie jest) ma pełną swobodę wyboru, jak sformułować wnioski będące wyrazem jego poglądów i preferencji²⁷.

Nie mam nic przeciwko stosowaniu tak zwanych zasad ograniczających. Są one w powszechnym użyciu – wspomnieliśmy zasadę, która mówi, że podnosząc rękę w czasie aukcji, stajemy się właścicielami nikomu niepotrzebnego grata, nawet jeśli nie taka była nasza intencja – i zawsze można powołać się na ich wagę dla utrzymania stabilności i przewidywalności prawa. Chodzi mi tylko o to, że zasady ograniczające nie są zasadami interpretacyjnymi, lecz zasadami, które mówią nam, kiedy należy zaprzestać interpretacji i zająć się czymś innym. Jestem jak najbardziej skłonny przyznać, że w pewnych przypadkach (może nawet w wielu) poszukiwanie znaczenia albo napotyka na zbyt duże trudności, by system prawny mógł efektywnie funkcjonować, albo wręcz może prowadzić do podważenia sensu danego przepisu prawnego, a wtedy upieranie się przy poszukiwaniu znaczenia byłoby niezdrowe. Twierdzą jedynie, że uświadomienie sobie przeszkód, jakie stoją na drodze do określenia znaczenia i przyjęcie do wiadomości, że czasami zajmowanie się znaczeniem w ogóle nie ma sensu, nie zmieniają faktu, iż odpowiedź na pytanie „Co znaczy tekst?” brzmi: „Tekst znaczy to, co ma na myśli jego autor [*what its author intends*]”. A skoro tak, to tekst nie będący tworem intencjonalnym żadnego autora, nie ma znaczenia, ponieważ nie jest w ogóle tekstem.

III.

Tak też należy podejść do rozbudowanego przykładu, jaki proponuje nam Walter Sinnott-Armstrong. Jego punkt wyjścia jest następujący: w drzewo uderzył piorun i „pozostawił na nim ślady [*marks*]”, które można odczytać jako słowo „STOP”²⁸. Ponadto Sinnott-Armstrong zakłada, że od wielu lat „kierowcy, którzy dojeżdżają do skrzyżowania i widzą to drzewo, zatrzymują się za każdym razem”. Pewnego dnia jeden z kierowców nie zatrzymuje się (może należało by powiedzieć, że „przejechał drzewo?”), a w jego samochód uderza pojazd innego kierowcy, który opierał się na założeniu, że dojeżdżający do drzewa zatrzymują się²⁹. Sinnott-Armstrong każe nam wyobrazić sobie, że w następstwie tego wypadku toczy się sprawa w sądzie i sędzia „przyznaje odszkodowanie kierowcy, z którym zderzył się ten, który nie zatrzymał się przed drzewem, a wyrok zostaje podtrzymany w sądzie drugiej instancji”³⁰. Podsumowując, Sinnott-Armstrong stwierdza, że po pierwsze taki wyrok wcale nie jest „rażąco nieprawidłowy”, a po drugie okoliczności zdarzenia „wskazują, iż ślady na drzewie mają prawnie obowiązujące znaczenie słowne”³¹. A jednak te dwa wnioski należało by rozdzielić. Kwestia, czy wyrok jest prawidłowy bądź nieprawidłowy, nie ma związku z tym, czy ślady pozostawione przez piorun mają znaczenie, czy też nie. W uzasadnieniu takiego wyroku można na przykład wykorzystać argument, iż kierowca, który się nie zatrzymał, ponosi odpowiedzialność za działanie nieostrożne i lekkomyślne, ponieważ zwyczaje, nawyki i związane z nimi zdolności przewidywania zachowań innych ludzi były w tym przypadku silnie zakorzenione wśród okolicznych kierowców. Można by też upierać się (choć to już uznano by pewnie za przesadę), iż w interesie społecznym leży przestrzeganie takiego zwyczaju, mimo że nie istnieje dla niego żadne uzasad-

nienie prawne. Tutaj tok rozumowania mógłby wyglądać następująco: „powszechnie znane i uznawane [*publicly accessible*]”³² znaczenia słów – nawet znaczenia słów, których tam nie ma – są niezbędne z punktu widzenia przewidywalności prawa. Mianowicie należy wziąć pod uwagę, że wszyscy członkowie społeczności lokalnej traktowali ślady na drzewie tak, jakby to było słowo. My wiemy jednak, że owe ślady słowem nie były. W najlepszym razie przypominały wyraz – nie stworzył ich wszak nikt działający celowo – w związku z czym sąd, opierając swój wyrok na tym, że wielu okolicznych mieszkańców postępuje tak, jakby ślady miały znaczenie, uznałby za podstawę swojej decyzji pomyłkę, jako że ślady na drzewie nie znaczą, mają bowiem charakter przypadkowy [*random*]. Sąd nie uprawomocniłby w ten sposób językowego znaczenia śladów, tylko pomyłkę popełnianą przez tych wszystkich, którzy myślą, że ślady mają znaczenie. (Samo zagadnienie sądowego uprawomocnienia pomyłki nie jest wcale takie osobliwe – do tego rodzaju sytuacji doszło, kiedy gimnastykowi Paulowi Hammowi pozwolono zatrzymać złoty medal³³.) Sąd, który wydałby taki wyrok, nie zająłby tym samym stanowiska co do ogólnej kwestii interpretacji związku pomiędzy znaczeniem i intencją – sąd ów zajmowałby się prawem, a nie filozofią języka – i mógłby podjąć ostateczną decyzję w ogóle nie wypowiadając się na temat tego, czy ślady na drzewie oznaczają „stop”. Tego rodzaju kwestię prawną – czy należy popierać takie zachowanie i uprawomocnić w ten sposób od dawna popełnianą i niosącą za sobą poważne konsekwencje pomyłkę? – da się bez większych trudności oddzielić od pytania, czym jest znaczenie tekstu. Sąd, który zachowałby się tak, jak to zakłada Sinnott-Armstrong, postąpiłby dokładnie według wytycznych Vermeule’a dla interpretatorów optymalizujących – pomijając zupełnie zagadnienie znaczenia, aby podjąć decyzję na podstawie takich przesłanek, jak wydajność, stabilność, przewidywalność, które uznałby za ważniejsze z punktu widzenia swoich zadań.

Sinnott-Armstrong mógłby mi odpowiedzieć (jak to zresztą czyni w swoim eseju), że jego przykład dowodzi, iż kwestia znaczenia jest rozstrzygana przez wspólnotę interpretatorów, a nie intencję autora: ślady mogą nabrać znaczenia, nawet jeśli nikt go nie miał na myśli, pod warunkiem że takie znaczenie uzgodnią ze sobą ci, którzy stykają się z owymi śladami: „Znaczenie śladów zależy od sposobu, w jaki rozumie je miejscowa społeczność, a nie od sposobu, w jaki powstały”³⁴. Można to określić jako regułę „decyzja należy do interpretatorów (czytelników)”, często zresztą spotykaną w literaturze przedmiotu. I tak na przykład Richard Shusterman twierdzi, że „konieczne do zagwarantowania znaczenia intencje można by powierzyć czytelnikom tekstu (lub kolektywowi wspólnoty interpretacyjnej), a nie jego pierwszemu, <historycznemu autorowi>”³⁵. Takie stanowisko w jego przekonaniu znajduje uzasadnienie w historii recepcji tekstów, historii, w ramach której określenie znaczenia tekstu podlega kolejnym zmianom wraz z nadejściem nowego pokolenia czytelników. Zdaniem Shustermana to intencje tych czytelników, a nie intencja autora, „wywierają wpływ na kierunek i kształt rozumienia (...) w sposób zupełnie nie do przewidzenia przez autora”³⁶. Jako że takie rozumienie zmienia się,

zmieniają się również „właściwości i znaczenia” tekstu, ponieważ „interpretacja i wiedza zawsze wywołują zmiany w przedmiocie, którym się zajmują”³⁷. W związku sposób ujmuje to Raymond W. Gibbs, Jr.: „Czytelnicy (i słuchacze) często (...) wykraczają poza to, co pisarz (lub mówca) miał na myśli”³⁸.

Z empirycznego punktu widzenia jest to oczywiście zgodne z prawdą: historia recepcji dostarcza wielu dowodów na to, że temu samemu tekstowi przypisuje się krańcowo odmienne znaczenia. Można także powiedzieć, że owe znaczenia „wykraczają” poza intencję autora. Pytanie tylko, czy to „wykraczanie” oznacza niepowodzenie w staraniach zmierzających do ustalenia znaczenia (staraliśmy się ustalić zamierzone przez autora znaczenie, ale posunęliśmy się za daleko), czy może stanowi raczej pozytywne osiągnięcie właśnie dlatego, że udało nam się w imię swobody czytelnika przewyciężyć ograniczenia narzucone przez wąsko rozumiane intencje autora? Czy „wykraczanie” to niefortunna konsekwencja trudności, jakie w niektórych przypadkach towarzyszą ustalaniu, co autor miał na myśli, czy też odnosi się ono do twórczych aspektów lektury, do sytuacji, kiedy czytelnicy zapuszczają się śmiało tam, gdzie przed nimi nie ważył się jeszcze wkroczyć żaden interpretator? To jasne, że Sinnott-Armstrong, Shusterman i Gibbs wybraliby drugą opcję, która „wykraczanie” traktuje jako cel interpretacji i powód do dumy. Ale przecież nie taka motywacja przyświeca czytelnikowi, który usiłuje podważyć wcześniejsze interpretacje, by zastąpić je swoją. Taki czytelnik jest przekonany, że (w końcu) odkrył prawdziwe znaczenie tekstu – znaczenie, które autor miał na myśli. Gdyby było inaczej, kolejni interpretatorzy nie zadawaliby sobie trudu, by wykazywać, że poprzednie odczytania były błędne, albo że argumenty przytoczone dla ich poparcia były niezbyt przekonujące, a dopiero ich interpretacja rozwiązuje całą zagadkę. Jeśli jednak w tym wszystkim chodzi tylko o to, żeby wykazać się większą pomysłowością od kolegi po fachu, może po prostu od razu przejdziemy do rzeczy, darując sobie wszystkie te interpretacyjne spory i wywody? Wszak mają one sens tylko wtedy, gdy mowa o „tym samym” tekście, który wspólnie uznajemy za przedmiot naszych dociekań. Sinnott-Armstrong, Shusterman i Gibbs nie odróżniają empirycznej trudności – rzeczywiście niełatwo ustalić, co znaczy dany tekst nawet wtedy, gdy wielu interpretatorów już wcześniej próbowało tego dokonać – od programowego postępowania [*agenda*] polegającego na wysuwaniu jak największej liczby proponowanych znaczeń. Jeżeli ktoś kieruje się takim programem, dlaczego całkiem nie pozbedzie się argumentów na poparcie swojej interpretacji i towarzyszącego jej wywodu? Można równie dobrze pozbyć się też samego tekstu, do czego i tak dochodzi, jeśli przyjmiemy założenie, że interpretacja zawsze zmienia to, co jest jej przedmiotem (i nie ma w tym nic złego). Zakładając coś takiego – przyjmując regułę „decyzja należy do czytelnika” – nastawiamy się nie na właściwe zrozumienie tekstu (choćby dlatego, że nie ma już tekstu), lecz na stworzenie interpretacji, która spełni nasze oczekiwania i zamierzenia.

Można by zaoponować, wskazując, że w końcu niewiele różni stanowisko oparte na regule „decyzja należy do czytelnika” od wersji intencjonalizmu, którą proponują Larry Alexander, Steven Knapp, Walter Benn Michaels i autor tego tekstu. Powtarzamy ciągle, że intencjonalizm to po prostu właściwa odpowiedź na pytanie, czym jest znaczenie tekstu, a nie metoda. Świadomość, że staramy się dotrzeć do intencji, nie pomaga nam w żaden sposób w interpretacji tego czy innego tekstu. Musimy jeszcze ustalić, czym jest ta intencja, a w większości przypadków próba takiego ustalenia prowadzi do sporów, w których interpretatorzy, wysuwając różne koncepcje intencji powołującej tekst do życia, w odmienny sposób opisują jego „właściwości i znaczenia”. Czy w takim razie przedstawiona tutaj historia owych korekt i wciąż nowych opisów nie przypomina jednak tego, co Shusterman określa jako „ciągłe, budzące nieustające spory konstruowanie rozumienia i interpretacji”³⁹ tekstu? Być może, ale nawet gdyby obie historie – i ta, w której biorą udział poszukiwacze autorskiej intencji, i ta, w której interpretatorzy wierzą w swoje prawo (i obowiązek) do wykraczania poza ową intencję – były identyczne pod względem swojego przebiegu, tylko członkowie pierwszej grupy byłiby w stanie podać powód (zakładając, że nie jest nim dobra zabawa), dla którego zajmują się tym, czym się zajmują i pozytywnie lub negatywnie ustosunkowują się do ustaleń innych interpretatorów. Tylko ci, którzy dążą do określenia intencji, mogliby pochwalić się przedmiotem badań nadającym sens ich wysiłkom.

Właśnie dlatego stanowisko intencjonalne jest tak istotne, mimo że nie przedstawia sobą żadnej wartości metodologicznej. (Nie wskazuje nam, jak postępować, a jedynie opisuje, co robimy.) Ktoś przekonany o tym, że usiłuje ustalić intencję, napotkawszy nowe informacje, może zawsze postawić sobie pytanie: czy pozwalają mi one lepiej poznać przedmiot moich badań? Ktoś o odmiennych przekonaniach nie może sobie postawić tego rodzaju pytania albo dlatego, że nie istnieje przedmiot jego badań albo dlatego, że takich przedmiotów jest zbyt wiele i nie da się ich odróżnić. W gruncie rzeczy istnieje tylko jedna logiczna odpowiedź na pytanie „co znaczy tekst?” Nie może on znaczyć tego, co uznają za jego znaczenie czytelnicy, bo wtedy rywalizacja na interpretacje byłaby pozbawiona reguł (i nie dało by się ustalić zwycięzcy). Stałaby się grą w rodzaju tej, którą H. L. A. Hart określił ironicznie jako „sędziowaną przez samych zawodników [*the game of scorer's discretion*]”⁴⁰. Tekst nie może też, jak się wcześniej przekonaliśmy, znaczyć tego, co znaczą słowa same w sobie (na takim przekonaniu zasadza się stanowisko tekstualne, które nie ma jednak racji bytu), ponieważ bez domniemania intencji same słowa (nawet nie słowa – przypomnijmy sobie drzewo ze śladami po piorunie) nie znaczą nic. Znaczenia tekstu nie znajdziemy także w słowniku, który mówi nam o słowach w nim zawartych, ponieważ słownik zawiera tak naprawdę zapis dotychczasowych intencji, jakimi kierowali się używający danego wyrazu, a więc zapis wielu możliwych znaczeń pozbawiony jakichkolwiek wskazówek co do tego, które z nich jest właściwe, a więc oddające intencję autora. (Poza tym kolejny autor może rozszerzyć zakres znaczeniowy danego wyrazu – tak dokonują się często

zmiany w leksyce – w sposób, który będzie wymagał wprowadzenia poprawek do słownika.) Tekst nie znaczy również tego, co określają obowiązujące w danej chwili konwencje, ponieważ konwencje nie mają intencji i nie tworzą tekstów. Znaczenie tekstu nie sprowadza się też do tego, co mógłby przez zawarte w nim słowa rozumieć przeciętny lub idealny interpretator, ponieważ nikt taki nie był tego tekstu autorem, a przypisanie mu autorstwa na zasadzie odgórnego decyzji sprowadza się do zmiany tekstu, a nie jego interpretacji. Zostaje nam tylko jeden kandydat i jedna odpowiedź na postawione wcześniej pytanie: tekst znaczy to, co ma na myśli jego autor.

Skoro tekst znaczy to, co ma na myśli jego autor, wiele sporów o to, jak powinna wyglądać interpretacja prawa, traci swoją wagę i sprowadza się zaledwie do ilustracji tego, jak silnie jedna pomyłka może oddziaływać na całą dziedzinę. Przyjrzyjmy się na przykład pracy Johna Manninga *Textualism and the Equity of the Statute* [*Tekstualizm a system prawa słuszności*]⁴¹. Gdy tylko uświadomimy sobie, że w przekonaniu Manninga taki tytuł określa dwie odmienne możliwości interpretacji, wiemy już (przynajmniej ja wiem), że na kolejnych 127 stronach nie znajdziemy niczego, co stanowiłoby wartościowy wkład w teorię. Pierwsze zdanie drugiego akapitu Manninga brzmi: „Kwestia wyboru pomiędzy tekstem i celem zawsze stanowiła problem dla prawników zajmujących się interpretacją zapisów ustawowych (...)”⁴². Wcale nie. Jeśli zajmujemy się interpretacją zapisów ustawowych (a pamiętajmy, że prawo nie musi się zawsze do tego sprowadzać), to już z założenia staramy się zrozumieć cel każdej ustawy. Problem (jeżeli przyjmiemy, że to w ogóle właściwe słowo) interpretacji zapisów ustawowych stanowią spory między tymi, którzy na różne sposoby opisują przebieg i zadania samego procesu interpretacji prawa, jednak te różnice nie przekładają się (i nie mogą się przekładać) na odmienne sposoby interpretowania, ponieważ istnieje tylko jeden taki sposób. Historia, którą Manning przytacza, to nie – wbrew temu co sam twierdzi – historia wzlotów i upadków różnych opcji interpretacyjnych. Nie istnieją *różne* opcje interpretacyjne, mimo że mamy do czynienia z różnymi (jednak nie opcjonalnymi) sposobami realizacji zadania polegającego na ustaleniu intencji (do tego właśnie zawsze i bez wyjątku sprowadza się interpretacja). W związku z tym historia Manninga to historia upadków i wzlotów różnych sposobów opisywania interpretacji. Kiedy zwraca on uwagę, że „reguła <dosłownego znaczenia> [*the 'plain meaning' rule*] w końcu zastąpiła prawo słuszności jako elementarne prawo w Anglii”⁴³ albo że już na wczesnym etapie sprawowania swojej funkcji „Marshall, Sędzia Naczelny Sądu Najwyższego, zaczął się skłaniać ku teorii <orzekania w myśl intencji ustawodawcy> [*the faithful agent theory*] jako zasadniczej podstawie interpretacji zapisów ustawowych [*statutory interpretation*]”⁴⁴, Manning tak naprawdę przywołuje przykłady zmian w teoretycznych opisach interpretacji, a nie w samej praktyce. Oczywiście teoretyczne opisy również mają swoją historię i dla badacza mogą one stanowić przedmiot zainteresowania; jeśli uzna, że warto się swoją wiedzą podzielić, może zawsze przedstawić nam historię zmian, jakie zaszły w sposobie opisy-

wania interpretacji zapisów ustawowych. Nie dowiedzielibyśmy się jednak z takiej historii ani jak dawniej interpretowano – to już wiemy: ustalano lub poszukiwano intencji – ani jak interpretować się powinno. (To też już wiemy.) Może i reguła dosłownego znaczenia zastąpiła dążenie do ustalenia zamiaru [*purpose*] w podręcznikach prawa, ale ponieważ reguły tej nie da się zastosować – znaczenie w oderwaniu od zamiaru nie istnieje, a zamiaru nie da się wywieść ze słów samych w sobie – fakt ten w najmniejszym nawet stopniu nie wpływa na interpretację. Esej Manninga mógłby stanowić interesujący wkład w dyskusję nad interpretacją, gdybyśmy spojrzeli na niego jako na opis przykładów, gdzie w poszczególnych okresach rozmaici interpretatorzy szukali śladów prowadzących do intencji. Wtedy moglibyśmy dowiedzieć się czegoś na temat różnych strategii realizacji jedynego możliwego zadania, jakie pozwala nam określać to, co robimy mianem interpretacji – zadania polegającego na próbie ustalenia, co miał na myśli rozmyślnie działający osobnik gatunku ludzkiego.

IV.

Czas na podsumowanie; posłużę się do tego celu esejem Natalie Stoljar. Profesor Stoljar dokonuje przeglądu różnych metod interpretacji prawa i w pewnym momencie przedstawia listę najczęściej spotykanych zarzutów wobec intencjonalizmu. Pierwszy z nich ma charakter „epistemologiczny”⁴⁵: jako że dowody na taką, a nie inną intencję „są często niejednoznaczne, niekompletne lub niejasne, interpretator może napotkać trudności ze sformułowaniem przekonującego uzasadnienia tezy, iż jego interpretacja jest zgodna z rzeczywistą intencją danego autora”⁴⁶. Tylko że to nie zarzut wobec stanowiska, które mówi, że tekst znaczy to, co ma na myśli jego autor. Jeżeli już, to mamy tu do czynienia co najwyżej ze skargą na potencjalne trudności z ustaleniem owej intencji. Zakładając, że powyższe stanowisko jest słuszne, empiryczne trudności związane z wprowadzeniem go w życie mają charakter ni mniej ni więcej tylko właśnie empiryczny, w związku z czym nie mogą w najmniejszym stopniu podważyć intencjonalizmu.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że dowody empiryczne nie są w stanie ani podważyć, ani też wesprzeć stanowiska intencjonalnego. Stanowisko to nie ma z dowodami empirycznymi nic wspólnego – jego sens sprowadza się do koncepcji, która nie została wywiedziona z doświadczenia. To skomplikowana teza, więc sięgnijmy po pomoc w jej rozwinięciu do fragmentu *Politycznego liberalizmu* pióra Johna Rawlsa⁴⁷. W Wykładzie II Rawls analizuje podstawowe elementy pojęcia obywatelstwa. Ostatni z nich zakłada, iż „obywatele posiadają właściwą moralną dyspozycję psychologiczną [*reasonable moral psychology*]”⁴⁸. Innymi słowy „mają zdolność przyswajania sobie koncepcji sprawiedliwości i uczciwości oraz pragnienie, by postępować zgodnie z ich wymogami”⁴⁹. Rawlsowi nie chodzi, jak nas natychmiast zapewnia, o to, że obywatele rzeczywiście mają tego rodzaju pragnienie i da się to potwierdzić empirycznie. Chodzi mu natomiast o to, że ci, którzy akceptują to, co określa on jako

„zamysł polityczny”, powinni postępować tak, jakby je mieli, powinni – niczym aktor odgrywający rolę - stwarzać pozory posiadania dyspozycji psychologicznej, którą przypisują im (takiego określenia używa sam Rawls) założenia politycznego liberalizmu. Najkrócej rzecz ujmując, taka dyspozycja to jak „pierwotne stanowisko”, artefakt i zabieg rozumowy. (W tym miejscu Rawls opiera się na Kancie, który stwierdza, że wewnętrzny status moralny obywateli nie ma znaczenia w państwie zorganizowanym w oparciu o formalny imperatyw szacunku dla autonomii innych, ponieważ w takim państwie nawet diabeł będzie zachowywał się zgodnie z tym imperatywem, a więc wbrew sobie będzie postępował właściwie.) Dlatego też Rawls określa dyspozycję, którą opisuje, jako „filozoficzną, a nie psychologiczną”: „Nie jest to dyspozycja, której źródła można doszukać się w nauce o naturze ludzkiej – to raczej system pojęciowy (...) będący wyrazem pewnej politycznej koncepcji osoby i pewnego ideału obywatela”⁵⁰. Czyli, inaczej mówiąc, moralna dyspozycja psychologiczna Rawlsa nie stanowi odpowiedzi na pytanie „Jak naprawdę ludzie postępują?” (tak brzmi zasadnicze pytanie Psychologii), ale pokazuje, jaki model postępowania należy założyć (czyli przypisać obywatelom), jeśli podstawowe zasady zamysłu politycznego mają być kompletne i racjonalne. Jak pisze Rawls w dalszej części swojej pracy, „Brak uzasadnienia ze strony psychologii kognitywnej nie ma tu nic do rzeczy”⁵¹, ponieważ istotna jest spójność całego zamysłu, a nie jego zgodność z rzeczywistymi zachowaniami obywateli.

Tak samo rzecz się ma z intencjonalizmem. Stwierdzenie, iż interpretacja zawsze i bez wyjątku sprowadza się do ustalenia intencji, nie stanowi odpowiedzi na pytanie „Co się dzieje w umyśle interpretatora?” – odpowiedź na takie pytanie wymagałaby analizy fal mózgowych, procesów myślowych, praktyk instytucjonalnych i wielu innych zabiegów. Stwierdzenie to stanowi natomiast odpowiedź na pytanie „Jak musi wyglądać interpretacja – co musimy założyć – żeby takie pojęcia jak porozumienie, spór, błąd, weryfikacja i korekta miały jakikolwiek sens?”. Intencjonalizmu nie obali, ani nawet nie podda w wątpliwość cały szereg empirycznych trudności (takich jak wielu autorów tego samego tekstu, dzieło napisane dawno temu, bezosobowe autorstwo instytucjonalne), przed którymi staje interpretator usiłujący ustalić intencję. Stanowisko intencjonalne można by poddać w wątpliwość albo nawet obalić, gdyby ktoś zdołał wykazać, że istnieje jakaś inna odpowiedź na pytanie „Czym jest znaczenie tekstu?”, która byłaby do racjonalnego pogodzenia [*rationally compatible*] z takimi pojęciami jak porozumienie, spór, błąd, weryfikacja i korekta. Jak dotąd nikomu to się nie udało i wątpię, by coś takiego miało się zdarzyć w przyszłości.

Kolejny często spotykany zarzut – Stoljar nazywa go „zarzutem nieistniejącej intencji”⁵² – jest bliskim krewnym pierwszego. Opiera się na tym, że w grupach, jakimi są ciała ustawodawcze, „pojedyncze osoby kierują się różnymi celami i intencjami. Jak zatem połączyć indywidualne intencje, tak aby intencja grupowa stanowiła wiarygodne odzwierciedlenie intencji odpowiedzialnej za ustawę?”⁵³. Tak postawione pytanie myli intencję z motywem – mimo że poszczególni członkowie ciała ustawodawczego mogą kierować się różnymi

motywami podpisując się pod daną ustawą, mogą też postępować zgodnie ze wspólną intencją, by ustawa została przyjęta i zaczęła obowiązywać. Ale założmy, że różni członkowie ciała ustawodawczego rozumieli coś innego przez konkretne sformułowania użyte w ustawie – użyto słowa „kaczka” i część głosujących zrozumiała, że chodzi o ptaka, a pozostali myśleli o kaczce dziennikarskiej. Co począć w takiej sytuacji? J. L. Austin powiedziałby pewnie, że sprawa wygląda paskudnie, bo mamy do czynienia z dwoma różnymi tekstami i dwoma niezależnymi znaczeniami; nie ma też sposobu, by je sprowadzić do wspólnego sensu, trzeba więc pomyśleć o jakimś innym rozwiązaniu na przyszłość. To byłaby jednak bardzo nietypowa sytuacja. W większości przypadków teksty stworzone przez wielu autorów nie stanowią specjalnego problemu dla interpretatorów. Ci sami teoretycy, którzy wysuwają „zarzut nieistniejącej intencji” wobec intencjonalizmu głoszonego przez Knappa i Michaelisa, bez wahania opierają swoją interpretację ich poglądów na założeniu wspólnej obu badaczom intencji. Albo weźmy inny przykład: Perri O’Shaughnessy, autorka bestsellerowych kryminałów. W jej książkach na wewnętrznej stronie okładki widnieje adnotacja informująca, że autorkami powieści są dwie siostry⁵⁴. Mimo to na jednej z pierwszych stron wśród cytowanych fragmentów recenzji zachwalających książkę – napisanych przez kogoś, kto z pewnością ma dostęp do tego rodzaju wiadomości – mowa o dorobku O’Shaughnessy i jej fabułach; inni recenzenci, także świadomi całej sytuacji, chwalą sposób realizacji zamysłu autorki. A gdyby tak okazało się, że jedna z siostr zamierzała napisać najzwyklejszy kryminał, a druga alegorię wojny z terroryzmem i ani jedna, ani druga nie znała intencji siostry, kiedy pracowały wspólnie nad rękopisem? Znowu mielibyśmy do czynienia z dwiema intencjami, dwoma tekstami i dwoma znaczeniami, a recenzenci byłiby w kropce, nie wiedząc które z nich opisać. Rzeczywiście jest to dylemat, ale w żaden sposób nie podważa on tezy, że tekst znaczy to, co ma na myśli jego autor.

Istnieje jeszcze inna możliwość: zamiast dwóch osób mających różne intencje, jedna osoba mająca różne intencje. Taka możliwość, jak twierdzi Stoljar, każe nam zmierzyć się z „zarzutem nieokreśloności”⁵⁵:

Nawet w najprostszych przypadkach, takich jak interpretacja współczesnych tekstów autorstwa pojedynczych pisarzy, autorzy często mają kilka różnych intencji równocześnie. Na przykład autorzy mogą mieć na myśli zarówno konkretne pomysły na zastosowanie przepisu – dajmy na to, przyzwolenie na segregację rasową – i ogólny zamysł, który może polegać na ochronie zasady równości.⁵⁶

Tacy autorzy nie mają jednak dwóch intencji, tylko jedną – ich intencją jest przyzwolenie na segregację, przy czym intencja ta jest podporządkowana założeniu, że nie ma sprzeczności między segregacją a równością. (Takie właśnie założenie przyświecało jednomyślnemu wyrokowi w sprawie Plessy’ego⁵⁷.) Można się z tym nie zgadzać i upie-

rać, że autorzy ci popełniają błąd myśląc w ten sposób, bo segregacja już z definicji jest sprzeczna z zasadą równości, ale byłby to zarzut wobec rozumowania, które skłoniło ich do przyjęcia tej konkretnej intencji, a nie wywód zmierzający do ustalenia, czy w ogóle ją mają albo czy nie kierują się dwoma różnymi intencjami. Czy autor może mieć dwie sprzeczne ze sobą intencje i tak dobrać słowa, by były nośnikami obu? Zapewne, ale w takim przypadku powiedzielibyśmy, że jest to autor „o dwóch umysłach”, a każdy z nich tworzy swój własny tekst i osobne znaczenie. Czyli znowu casus siostr piszących kryminały, tyle że tym razem obie osobowości mieszczą się w jednej czaszce⁵⁸.

Jestem pewien, że istnieje jeszcze więcej takich zagadek i więcej ciekawych sytuacji hipotetycznych, których celem jest wykazanie, że znaczenie tekstu nie sprowadza się do intencji autora. Ale pora już kończyć – życie jest krótkie, czas ucieka, a ja udowodniłem to, co zamierzałem. Tak więc już po raz ostatni, żeby wszystko było jasne, powtarzam, co następuje:

- Tekst znaczy to, co ma na myśli jego autor.
- Nie istnieje znaczenie w oderwaniu od intencji.
- Nie istnieje stanowisko tekstualne, ponieważ tekst jest wtórny w stosunku do intencji [*intention is prior to text*]; bez intencji nie ma tekstu.
- Nie istnieje wybór między znaczeniem zamierzonym, konwencjonalnym, słownikowym, czy też znaczeniem przypisywanym tak zwanemu przeciętnemu lub idealnemu, czy też rozumnemu podmiotowi. Wybierać można tylko spośród określonych na różne sposoby intencji. Słowniki i konwencje nie mają intencji, a autorem tekstu, który właśnie interpretujemy, nie jest żaden tak zwany przeciętny lub idealny, czy też rozumny podmiot.
- Jeśli nie staramy się ustalić intencji, to nie interpretujemy; czasami jednak zależy nam na tym, żeby zajmować się akurat interpretacją (zanim wszakże zaczniemy zajmować się czymś innym, powinniśmy upewnić się, czy rzeczywiście o to nam chodzi).
- Intencji czytelników, pomijając intencje polegające na dążeniu do ustalenia intencji, nie można traktować jako interpretacji; intencje czytelników powołują do istnienia nowe teksty.
- Żadne z powyższych stwierdzeń nie ma charakteru metodologicznego. Świadomość, że zajmujemy się ustalaniem intencji, nie pomaga nam w jej znalezieniu – dalej musimy zbierać skrzętnie materiały i budować z nich wywód. Z kolei przekonanie, że zajmujemy się czymś innym, nie przeszkadza nam

w interpretowaniu tekstu, bo wówczas i tak szukamy intencji, nawet jeśli upieramy się, że jest inaczej.

- Interpretacja nie jest zagadnieniem teoretycznym, tylko empirycznym, w związku z czym powinno się zaprzestać wszelkich sporów na temat jej istoty. (Już to widzę!)

To by było na tyle. Miłego dnia. (I co mam przez to na myśli?)

*Przełożył Leszek Drong
Przekład przejrzał i poprawił Jacek Mydla*

Przypisy:

¹ Antonin Scalia, *Common-Law Courts in a Civil-Law System: The Role of the United States Federal Courts in Interpreting the Constitution*, w: *A Matter of Interpretation: Federal Courts and the Law* (pod redakcją Amy Gutmann), Princeton, Princeton University Press 1997, s. 3 i 17.

² Scalia, *Common-Law Courts*, s. 16.

³ Scalia, *Common-Law Courts*, s. 17.

⁴ Scalia, *Common-Law Courts*, s. 17-18.

⁵ Scalia, *Common-Law Courts*, s. 23.

⁶ Ludwig Wittgenstein, *Philosophical Investigations: The English Text of the Third Edition* (tłum. G.E.M. Anscombe), Prentice Hall 1973, s. 18e.

⁷ Opis stanowiska pluralistycznego znajdzie czytelnik w eseju Kenta Greenawalta *A Pluralist Approach to Interpretation: Wills and Contracts*, „San Diego Law Review” 2005, 42, s. 533. Stanowisko syntetyczne omawia Samuel C. Rickless w pracy *A Synthetic Approach to Legal Adjudication*, „San Diego Law Review” 2005, 42, s. 519.

⁸ John Milton, *Lycidas* (red. C.A. Patrides), New York, Holt 1961, s. 6. W oryginale ten dwuwiersz ma następujące brzmienie: „But that two-handed engine at the door/Stand ready to smite once, and smite no more” – przyp. tłum.

⁹ John Milton, *English Minor Poems, Paradise Lost, Samson Agonistes, and Areopagitica*, Chicago, Encyclopaedia Britannica 1952, s. 93-334.

¹⁰ Andrew Marvell, *To His Coy Mistress*, w: *Andrew Marvell* (red. Frank Kermode i Keith Walker), Oxford, Oxford University Press 1990, s. 24, w. 1.

¹¹ Chodzi o „San Diego Law Review” no. 42 z 2005 roku, w którym ukazał się niniejszy artykuł - przyp. tłum.

¹² Greenawalt, *A Pluralist Approach*, s. 536.

¹³ Adrian Vermeule, *Three Strategies of Interpretation*, „San Diego Law Review” 2005, 42, s. 607.

¹⁴ Rickless, *A Synthetic Approach*, s. 521.

¹⁵ Rickless, *A Synthetic Approach*, s. 521-22.

- ¹⁶ Rickless, *A Synthetic Approach*, s. 522.
- ¹⁷ Rickless, *A Synthetic Approach*, s. 521.
- ¹⁸ Greenawalt, *A Pluralist Approach*, s. 537.
- ¹⁹ Vermeule, *Three Strategies*, s. 613.
- ²⁰ Vermeule, *Three Strategies*, s. 613-14.
- ²¹ Vermeule, *Three Strategies*, s. 614.
- ²² Vermeule, *Three Strategies*, s. 614.
- ²³ Vermeule, *Three Strategies*, s. 614.
- ²⁴ Vermeule, *Three Strategies*, s. 614.
- ²⁵ Vermeule, *Three Strategies*, s. 628.
- ²⁶ Scalia, *Common-Law Courts*, s. 17-18.

²⁷ W prywatnych kontaktach Profesor Vermeule obstaje przy tym, że wcale nie zrezygnował z poszukiwania znaczenia na rzecz analizy kosztów i zysków. Twierdzi natomiast, że interpretator optymalizujący „potrafi uchwycić intencję w sposób dokładniejszy niż maksymalizujący”. Ma to sens tylko wówczas, gdy przez maksymalizującego interpretatora Vermeule ma na myśli kogoś, kto będzie szukał dowodów na potwierdzenie intencji nawet wtedy, kiedy już jest przekonany, że zdołał ustalić intencję jako taką. Mógłby tak postępować, gdyż, jak zauważa Vermeule, „każde źródło informacji o intencji należy z założenia uznać za dopuszczalne” - Vermeule, *Three Strategies*, s. 613. Moim zdaniem jednak taka osoba nie zajmowałaby się interpretowaniem, tylko teoretyzowaniem. To znaczy, postępowałaby zgodnie z wywiedzioną z teorii tezą, że pogląd, który sobie wyrobiliśmy, może w każdej chwili zostać obalony przez nieznanne nam jeszcze materiały, które wciąż czekają na odkrycie i w związku z tym żaden pogląd nie jest wystarczająco pewny [*secure*], dopóki nie zbadano i nie uwzględniono każdej potencjalnie istotnej informacji. Krótko mówiąc, w takiej sytuacji interpretacja to, słowami angielskiego poety Edmunda Spensera, „niekończąca się praca” – Edmund Spenser, *The Faerie Queene* (red. A.C. Hamilton), London, Longman 1977, księga IV, pieśń xii, strofa 1, wiersz 1. Tak postępujący interpretator nie musiałby się jednak obawiać, że określi intencję mniej precyzyjnie niż interpretator optymalizujący. Stanąłby za to przed realną groźbą, że wcale nie będzie mu dane dotrzeć do intencji, ponieważ dla osoby reprezentującej takie stanowisko teoretyczne ta chwila może nigdy nie nadejść. Z jednej strony mamy zatem stwierdzenie, że interpretację zawsze można zmienić pod wpływem nowych informacji, które to stwierdzenie stanowi tylko empiryczną obserwację dotyczącą historii recepcji. Natomiast co innego oznacza teza, że nieznanne dotąd materiały, które teoretycznie – ale niekoniecznie – możemy odkryć w bliżej nieokreślonej przyszłości, powinny rzucać cień na nasze wysiłki zmierzające do ustalenia intencji wypowiedzi lub tekstu. Różnica po raz kolejny polega na interpretowaniu z jednej strony i teoretyzowaniu z drugiej. Sprowadza się to do tego, że nie ma tak naprawdę intencjonalistów maksymalizujących, a właściwie, dokładniej rzecz ujmując, ci, którzy postępują jak intencjoniści maksymalizujący, nie są w ogóle intencjonalistami, tylko (kiepskimi) teoretykami. Jeśli zrezygnować z rozróżnienia na maksymalizujących i optymalizujących intencjonalistów, mamy do czynienia tylko z intencjonalistami, a więc interpretatorami, którzy szukają informacji na temat intencji. Gdzie będą ich szukać zależy tylko od tego, co uznają za istotną informację i gdzie ich zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo jej znalezienia. Intencjonalista może równie dobrze dojść do wniosku, że takich informacji nie znajdzie w historii ustawodawstwa i poprze swoje wnioski solidnymi argumentami opartymi na danych empirycznych. Jeśli jednak powodem, dla którego rezygnuje z analizy historii ustawodawstwa, jest to, że „spodziewane korzyści z takich badań płynące są mniejsze, niż wymagane koszty”, nie jest tak naprawdę interpretatorem, bo nie kieruje się przesłanka-

mi interpretacyjnymi – tj. związanymi z imperatywem ustalenia intencji – tylko powodami, które wynikają z politycznych i ekonomicznych uwarunkowań istniejących w danej branży.

²⁸ Walter Sinnott-Armstrong, *Word Meaning in Legal Interpretation*, „San Diego Law Review” 2005, 42, s. 465.

²⁹ Sinnott-Armstrong, *Word Meaning*, s. 474.

³⁰ Sinnott-Armstrong, *Word Meaning*, s. 474.

³¹ Sinnott-Armstrong, *Word Meaning*, s. 474.

³² Sinnott-Armstrong, *Word Meaning*, s. 488.

³³ Hammowi pozwolono zatrzymać złoty medal w gimnastyce zdobyty na Letniej Olimpiadzie w 2004r, pomimo że sędziowie popełnili błąd przy podliczaniu wyników. Decyzja została uznana za ostateczną przez Sportowy Sąd Arbitrażowy. Szczegóły na temat decyzji można znaleźć pod <http://www.tas-cas.org/en/pdf/yang.pdf> (dane z 23.04.2005r).

³⁴ Sinnott-Armstrong, *Word Meaning*, s. 475.

³⁵ Richard Shusterman, *Interpreting with Pragmatist Intentions*, w: Gary Iseminger, red., *Intention and Interpretation*, Philadelphia, Temple University Press 1992, s. 167 i 169.

³⁶ Shusterman, *Interpreting*, s. 173.

³⁷ Shusterman, *Interpreting*, s. 173.

³⁸ Raymond Gibbs, Jr., *Intentions in the Experience of Meaning*, Cambridge, Cambridge University Press 1999, s. 261.

³⁹ Shusterman, *Interpreting*, s. 173.

⁴⁰ H. L. A. Hart, *The Concept of Law*, Oxford, Clarendon Press 1994, s. 142.

⁴¹ John F. Manning, *Textualism and the Equity of the Statute*, „Columbia Law Review” 2001, 101, s. 1.

⁴² Manning, *Textualism*, s. 4.

⁴³ Manning, *Textualism*, s. 55.

⁴⁴ Manning, *Textualism*, s. 86.

⁴⁵ Natalie Stoljar, *Survey Article: Interpretation, Indeterminacy and Authority: Some Recent Controversies in the Philosophy of Law*, „Journal of Political Philosophy” 2003, 11, s. 470 i 479.

⁴⁶ Stoljar, *Survey Article*, s. 470 i 479.

⁴⁷ John Rawls, *Political Liberalism*, New York, Columbia University Press 1993.

⁴⁸ Rawls, *Political Liberalism*, s. 86.

⁴⁹ Rawls, *Political Liberalism*, s. 86.

⁵⁰ Rawls, *Political Liberalism*, s. 86-7.

⁵¹ Rawls, *Political Liberalism*, s. 120.

⁵² Stoljar, *Survey Article*, s. 479.

⁵³ Stoljar, *Survey Article*, s. 479.

⁵⁴ Biografia sióstr-pisarek znajduje się na ich stronie internetowej - <http://www.perrio.com> (dane z 23.04.2005r). Przykład oparłem na ich powieści *Invasion of Privacy* z 1996r.

⁵⁵ Stoljar, *Survey Article*, s. 479.

⁵⁶ Stoljar, *Survey Article*, s. 479.

⁵⁷ *Plessy kontra Ferguson*, 163 U.S. 537, 1896, s. 551-2.

⁵⁸ Zob. *The Three Faces of Eve* (Twentieth Century Fox, 1957r) i *Sybil* (program telewizji NBC, 1976r).